

Marcin Kuła: Przepraszam, ja bez żadnego trybu



Przepraszam, ja bez żadnego trybu

Wojciech Tygielski, *W podróży po Europie. Studia z dziejów kultury nowożytnej*, red. Anna Kalinowska, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, ss. 548.

Wiem, że wypowiedanie się o epoce innej niż ta, którą historyk się zajmuje, jest grzechem niewybaczalnym i należy się go wystrzegać. Cóż ja poradzę, że czasem sięgam jednak do książek o dawnych czasach. Czynię tak, by umocnić się w przekonaniu o istnieniu ciągłości dziejów, w którą można zwątpić, patrząc na głębokość naszych specjalizacji. Ostatnio przeczytałem zbiór rozpraw Wojciecha Tygielskiego, opublikowany z okazji jego jubileuszu. No i znalazłem w nim zagadnienia interesujące dla siebie – choć z wiekami XVI i XVII utraciłem kontakt równo 50 lat temu, gdy obroniłem pracę doktorską. Tygielski pisze o migracjach występujących pomiędzy Polską a Włochami oraz o sprawach, które dobrze widać przy okazji zajmowania się właśnie przemieszczaniem się

ludzi. Otóż sam wiele pracowałem nad migracjami i tymi dalszymi sprawami w odniesieniu do czasów późniejszych. Jestem nadto za przełamywaniem chronologicznych barier w specjalizacji, która powinna się koncentrować na sprawach, a nie na okresach dziejowych. Dla tych dwóch powodów odważę się wejść na obcy teren i skreślić parę słów na marginesie przeczytanej książki.

Jestem przede wszystkim zaskoczony, w jak wielkim stopniu kwestionariusz pytań stawianych w odniesieniu do ruchów migracyjnych późniejszych może być stosowany w odniesieniu do migracji Włochów w XVI i XVII w. do Polski, oraz tym, że autor go stosuje. Niektóre odpowiedzi jednak oczywiście różnią się – ale nie wszystkie.

Pierwsze pytanie dotyczy tego, kto migruje. W dzisiejszych kategoriach powiedzielibyśmy, że z Włoch jechali do Polski fachowcy. Nie widać u Tygielskiego osadniczej migracji rolników ani migrantów politycznych lub religijnych – te zaś grupy dominowały w historycznych falach emigracyjnych z Polski. O emigracji polskich fachowców, choćby nie wysokiego szczebla specjalizacji, można mówić dopiero od niedawna. W odróżnieniu od podstawowej masy późniejszych emigrantów z Polski ci Włosi nie pochodzili z najniższych hierarchicznie grup społecznych i po przybyciu na miejsce nie obracali się wśród chłopów.

Odmienne niż w późniejszych procesach emigracyjnych związanych z Polską te, o których pisze Tygielski, były dwukierunkowe. Z Polski też podążali do Italii różni podróżnicy – posłowie czy młodzi szlachcice – dla „przetarcia się” i pobrania nauk.

Jakimi drogami i za pomocą jakich środków komunikacji ci ludzie przemieszczali się? W tym wypadku różnica między epokami jest oczywiście ogromna. Niemniej jednak zdumienie, że migranci włoscy byli w stanie przemierzyć ogromne przestrzenie, występuje równie dobrze w odniesieniu do chłopów polskich jadących do Ameryki w końcu XIX w. Może nawet w wypadku tych drugich jest większe. Z punktu widzenia subiektywnego odczucia eskapady przepłynięcie statkiem przez Atlantyk było większym przeżyciem dla mazowieckich chłopów niż cała droga nad Wisłę dla Włochów – choć na statku bandyci nie napadali (jeśli, to może w drodze do portu). Przy okazji zapytajmy: czy jadący Włosi bali się bandytów?

Dalsze pytanie: jak po przybyciu na miejsce wyglądał kontakt migrantów z ziemią rodzinną? Różnica między czasami badanymi przez Tygielskiego a późniejszymi jest oczywista. Ewolucja w tym zakresie rzutowała zresztą na całość zjawiska migracji. Listy bardzo długo pozostawały jednak podstawowym środkiem komunikacji. Tygielski intensywnie wykorzystuje je w badaniu, czym, nawiasem mówiąc, zyskuje sympatię moją jako amatora listów traktowanych jako źródło. Problem jednak w tym, że ci migranci, którym się marnie udało, nieraz upiększali opisy, a ci, którym się zupełnie nie udało, najczęściej nie pisali. W listach, podobnie jak np. w księgach miejskich badanych przez Tygielskiego, stosunkowo marnie odbijała się banalna codzienność, podczas gdy bardziej wydarzenia zwracające uwagę. Pytanie jednak, jak kursowały owe listy? W jakim stopniu ich autorzy umieli je pisać, a odbiorcy czytać? Tygielski rozważa problematykę ludzi – jak się zdaje – umięjących jedno i drugie. Nie wątpię jednak – na podstawie własnego doświadczenia z listami

chłopskimi – że on sam musiał dodatkowo uczyć się je decyfrowywać, choć książki czyta (i pisze!).

Kto pokrywał koszty przejazdu migrantów? Autor dużo mówi o finansowaniu i organizacji wyjazdów młodych polskich szlachciców do Włoch (z grubsza biorąc: rodzice dawali pieniądze). Mało dowiadujemy się o finansowaniu podróży Włochów. Czy polska szlachta (magnateria, dwór) ściągająca fachowców pokrywała koszty ich podróży? Czy istniało znane z późniejszych czasów zjawisko migracji łańcuchowych, w których wcześniej jadący sprowadzali następnych? Czy migranci po zakorzenieniu się na nowym miejscu ściągali rodziny? W ogóle mało wiemy, czy występowała znacząca migracja rodzin. Czy w wypadku decyzji migracyjnej działał mechanizm relatywnej deprywacji? Interesujące są dla mnie uwagi Tygielskiego o doborze włoskich migrantów spośród ludzi dzielnych, zmierzających do pewnego celu itd. Można to uogólnić i stwierdzić, że emigracja jest procesem selekcji dodatniej. Tak mi powiedział Zygmunt Bauman w kontekście mojej pracy magisterskiej, gdzie poświęciłem dużo miejsca procesom migracji. Chyba jeszcze wtedy (1967) nie przypuszczał, że wkrótce stanie się emigrantem, a w jego przypadku wypowiedziana teza znajdzie potwierdzenie.

Co migranci wiedzieli o kraju, do którego jechali? Tygielski interesująco śledzi publikacje o Polsce, konstatując wzrost ich liczby. Analizuje również treść listów. Realistycznie jednak stwierdza, że trudno jest ustalić, jaka była faktyczna wiedza jadących o kraju docelowym. Czytając Tygielskiego, odnoszę wrażenie, że ich wiedza wówczas była porównywalna z wiedzą chłopów z północnego Mazowsza o Brazylii lub USA w końcu XIX w. Jeżeli już, to była większa. Nie wiem, czy ówczesne Włochy stały wyżej w znajomości świata, czy też jadący stali wyżej w hierarchii społecznej, ale nie wydaje mi się, by krążyły wśród nich legendy o kraju docelowym takie jak na mazowieckich wsiach o Ameryce. Jednocześnie ciekawe jest porównanie dawnej wiedzy migrantów z wiedzą, powiedzmy, dzisiejszych kandydatów do wyjazdów. Nawet jeśli dziś Europa przyciąga ludzi z innych kontynentów podobnie jak kiedyś Ameryka, rzekomo mlekiem i miodem płynąca, to obecnie choćby najbardziej ubodzy jakieś obrazy świata znają z telewizji. Decydują się ruszyć w drogę często właśnie dlatego, że znają. Napływ liczniejszych i bardziej zróżnicowanych wiadomości, wynikający ze zmian cywilizacyjnych, wpłynął też na cechy kanałów przekazywania informacji, które interesują autora. Dziś dyplomaci nie przekazują obrazów w gruncie rzeczy krajoznawczych, takich jak występujące w czasach nowożytnych w raportach nuncjuszy – choć jeszcze w historycznie niedawnych dyplomatycznych raportach francuskich, jakie czytałem, było ich sporo.

Pytanie, na jakie obszary kraju docelowego trafiała grupa migracyjna – czy na tereny stagnacyjne, czy w rozwoju? Czy rozpraszała się, czy tworzyła zwarte skupisko? Czy z różnych przyczyn miała skłonność do trzymania się między sobą, czy wchodziła w lokalne środowisko? Czy trafiała do miast, czy na wieś? Czy ceniła nowy kraj? Jakie pojawiały się wzajemne stereotypy w społeczności migrującej oraz przyjmującej? Pytanie też, w jakie miejsce struktury zawodowo-społecznej trafiali migranci. Te czynniki zawsze – jak mi się zdaje – miały i mają fundamentalne znaczenie dla procesów asymilacji fali migracyjnej na nowym terenie. Utworzenie zwartego skupiska nie sprzyja im,

wieś sprzyja mniej niż miasto, możliwość aspirowania do wyższych warstw lokalnych jest korzystna dla asymilacji, skojarzenie jakiegoś miejsca w strukturze zawodowo-społecznej z grupą przybyszów jest fatalne, a perspektywnie łatwo prowadzi do konfliktów. Może zaistnieć taka sytuacja, jak swego czasu w Polsce z Żydami. Spychano te grupę ku zajęciom handlowym, których szlachta nie chciała, a potem zgłaszano pretensje, że zajmują miejsce chrześcijańskiego mieszczaństwa i wyzyskują innych. Dziś w wielu krajach miejscowi przecież nie chcą wykonywać wielu prac, które zrzucają na imigrantów – ale grzmią, że ci zajmują miejsca na rynku pracy.

W rozważaniach nad sytuowaniem się przybyszów warto pamiętać o rozróżnieniu asymilacji kulturowej i strukturalnej. W końcu można wciąż mówić własnym językiem, jeść zgodnie z obyczajami kraju wyjściowego itd., a jednak funkcjonować w strukturze nowego kraju – i odwrotnie. Istotnym dla problematyki asymilacji czynnikiem była też okoliczność, czy ludność kraju docelowego była z grubsza jednolita i w jakim stopniu miała poczucie własnej odrębności, także to, czy migranci pochodzili z jednej grupy, czy z wielu. Jeden z chłopskich emigrantów do Brazylii napisał swego czasu w liście do rodziny, że z początku było mu trudno dogadywać się z miejscowymi, ale z czasem nauczył się trochę niemieckiego (!), to już mu było łatwiej. Gdy minęło kilkadziesiąt lat, Brazylia ostro zabrała się do tego, by doprowadzić wszystkich do mówienia po portugalsku i by wszyscy stali się Brazylijczykami. Czy takie działania w ogóle mogły być podejmowane w XVI i XVII w.?

Bardzo ciekawe są wnioski, jakie Tygielski formułuje o stosunku do Włochów w Polsce, dla szerszych rozważań nad stosunkiem grupy dominującej do mniejszości narodowych, niekoniecznie zresztą powstałych w drodze imigracji. Kłopoty Polski XVII w. postawiły na porządku dziennym kwestię lojalności Włochów, a raczej wywołały zarzuty o brak lojalności. „Cudzoziemscy przybysze zaczęli być obwiniani o wszelkie zło; ich obecność i działalność stała się łatwym wytłumaczeniem kłopotów, które stopniowo coraz intensywniej nurtowały szlachecką społeczność. Chytry i przebiegły Włoch, pozbawiony całkowicie znamion lokalnego patriotyzmu, bogacący się nieuczciwie kosztem swoich poczciwych i łatwowiernych polsko-litewskich gospodarzy, którzy przez to popadają w ruinę, stanie się pierwowzorem stereotypu różnorodnych mniejszości, obwinianych później w polskiej zaściankowej, narodowo-katolickiej retoryce o wszelkie zło tego świata; pierwowzorem »żydów«, »cyganów«, »masonów«” (s. 405). W sumie: Włosi odegrali zatem rolę modernizacyjną (sic!), bowiem takie zjawiska są (niestety!) typowymi zjawiskami nowoczesnego świata, niezależnie od tego, jak definiować owo pojęcie.

Z punktu widzenia funkcjonowania, a zwłaszcza asymilacji przybysza w nowym kraju ważny jest kulturowy dystans obszaru przyjmującego oraz kraju wyjściowego. W wypadku ruchu ludzi między Polską a Włochami występowały okoliczności zmniejszające dystans (religia, duża rola łaciny, pewna znajomość wzajemna trwająca od dawna, ten sam kolor skóry, dominacja gospodarki rolnej...). Nadzwyczajnie ciekawe są jednak pasjonujące Tygielskiego odmienności w strukturze społecznej i organizacji rządzenia państwem, rzutujące na wrażenia Włochów. Przy czytaniu książki czytelnik może umocnić się w przekonaniu, że nigdy nie będzie dosyć zastanawiania się nad

zdominowaniem struktury polskiej organizacji państwowej przez szlachtę i nad konsekwencjami tej specyficznej kastowości. Tygielski wiele razy wraca do pytania, czy Polska była wówczas krajem zacofanym. Włosi widzieli, że była bardzo odmiennym – nawet jeśli mogło im być wygodnie funkcjonować w ramach luźniejszej struktury państwowej, właśnie zdominowanej przez szlachtę. Ta struktura miała skłonność do „zasklepienia się i konserwowania” (s. 108). Bardzo interesująca jest wielokrotnie poruszana przez Tygielskiego sprawa sprzyjania bądź przeciwdziałania wyjazdom synów szlacheckich za granicę. Nie ma w tej sprawie diagnozy jednoznacznej. Ciekawe, że w niejednym kraju rządzonym absolutystycznie i w sumie konserwatywnym pojawiała się taka niechęć (sułtańska Turcja, wielokrotnie Rosja). Ciekawe, że w Polsce owa niechęć pojawiała się oddolnie (jeśli uznać szlachtę za „dół”). Rzecz ma związek ze znacznie szerszą sprawą otwartości *versus* ksenofobii kultury szlacheckiej, która to sprawa fascynuje Tygielskiego (s. 396: „Z jednej strony mamy więc potwierdzenie konsekwentnej obecności cudzoziemców w strukturach staropolskiego społeczeństwa, co wskazywałoby na istnienie trwałych warunków takiej obecności sprzyjających, z drugiej zaś – dysponujemy licznymi przykładami antycudzoziemskiej retoryki, zarówno w tekstach literackich, jak też publicystycznych, oraz pewną liczbą postanowień organów władzy państwowej skierowanych przeciwko cudzoziemcom; dodajmy, postanowień ponawianych, co mogłoby świadczyć o ich nieskuteczności”). Otwartość na wpływy zewnętrzne mogła tłumaczyć podatność szlacheckiego społeczeństwa na kontrreformację (s. 395–396). Ta teza Tygielskiego mocno mnie zaskoczyła. Zawsze mi się zdawało, że kontrreformacja szła w parze z zamkniętością społeczeństwa. Dodajmy, że sprawa otwartości (zamkniętości) miała związek ze zjawiskiem długiego trwania: obawami przed Zachodem, pojawiającymi się przecież także dziś.

Rozważania nad sytuowaniem się Włochów nad Wisłą oraz nad ich wrażeniami prowadzą autora do porównań Polski z innymi krajami. Tygielski stawia pytanie, czy Rzeczpospolita szlachecka była „paradoksem historii, czy europejską normą” (s. 106–119). Przewaga szlachty nad mieszczaństwem była wówczas czymś normalnym nie tylko w Polsce. Swobody dla szlachty (przy ograniczeniach dla mieszczaństwa) zawarte w statucie piotrkowskim z 1496 r. były wszakże wyjątkiem (s. 108, za Antonim Mączakiem). Niezależnie od wrażeń ówczesnych Włochów wiele elementów obrazu zarysowanych w tej książce jest ważnych dla problematyki procesów modernizacyjnych – na przykład budowanie sobie klienteli przez możnych czy otwarte szukanie i dawanie protekcji... Klientelizm jest zjawiskiem ponadpokowym – o czym dobrze wiedział wielokrotnie przywoływany w książce Mączak. Dziś też nieraz szuka się protekcji, ale najczęściej się to ukrywa, nieprawdaż? Czy jednak wówczas w Polsce w ogóle istniały inne drogi uzyskania czegoś niż działanie w ramach rodziny lub po prośbie? Polska była wtedy opóźniona w budowie zawodowej biurokracji zarówno w stosunku do Zachodu, jak w stosunku do Wschodu (s. 203). Intuicyjnie zwłaszcza zapóźnienie w stosunku do Wschodu trudno zrozumieć. Jeśli zaś uznać, że podstawowa dla sprawy była dominacja władcy nad szlachtą (w Polsce było z grubsza odwrotnie), to staje pytanie, dlaczego ten Wschód szedł jednak inną drogą. Carom można zarzucić różne rzeczy, ale na ogół nie to, ażeby nie panowali nad bojarami.

Słabość aparatu państwowego mogła mieć pozytywny skutek w postaci panującej w

kraju dużej tolerancji. Tygielski cytuje opinię Giovanniego Barnbardo Bonifacio, markiza d'Oria, do Sebastiana Castellona, list z 30 czerwca 1561 r.: „Miałbyś tu (...) największą wolność życia wedle własnej myśli i upodobania, również tworzenia i drukowania. Nikt nie jest tu cenzorem” (s. 502). No cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Ciekawa jest obserwacja Tygielskiego, że to wzorce włoskie oddziaływały na Polskę, a nie odwrotnie (s. 397). Mówi nawet mocniej: „Intensywne kontakty z Italią, w tym imigracja polska, stanowiły więc dla Rzeczypospolitej szansę modernizacyjną; szansę unikalną, a przy tym – powiedzmy to wyraźnie – szansę niewykorzystaną” (s. 398). Autor aprobowując przytacza opinię Antonio Marii Grazianiego, sekretarza nuncjusza papieskiego, z 1563 r., że „Polacy za granicą chłoną obce zwyczaje, są skłonni je akceptować i przyswajać, tymczasem później, już u siebie, przyjmują postawę ksenofobiczną” (to słowa Tygielskiego). Dlaczego działo się właśnie tak? „Tam, na obczyźnie, to były raczej niezobowiązujące wzorce obyczajowo-kulturowe, które budziły zainteresowanie, a może nawet sympatię, zaś w domowych pieleszach ta sama propozycja kulturowa była już daleko trudniejsza do zaakceptowania, bo mogła oznaczać ingerencję w rodzimy, staropolski model oraz trwałe w nim zmiany. A na to już, przynajmniej w masowej skali, zgody nie było” (s. 400). W ramach tego wątku Tygielski sugeruje, że „Włosi – w XVI i XVII w. pozostający nadal w awangardzie społecznych rozwiązań i cywilizacyjnego postępu – byli przez polską szlachtę chętnie widziani jako wykonawcy, ale już nie jako nauczyciele”. Dlaczego? „Zapewne zaważyła na tym »niższość stanowa«, która cechowała zdecydowaną większość włoskich imigrantów, co ułatwiało miejscowej szlachcie patrzenie na nich z wyższością i traktowanie co prawda z sympatią, lecz nie całkiem serio” (s. 400). To bardzo ważna obserwacja z punktu widzenia rozważań nad tak wielbioną dziś polską szlachtą i szlachecką Polską. Jak w Hiszpanii kruszce, tak w Polsce zboże, umacniające szlachtę, okazało się zatrutym bogactwem (s. 406: „Istniejący stan rzeczy konserwował się i utrzymywał; brak było bodźców do przeprowadzenia niezbędnych reform strukturalnych i modernizacji systemu społecznego i gospodarczego”). Ciekawe, że dziś taka teza wraca wśród ekonomistów w odniesieniu do krajów hojnie dotowanych przez naturę np. bogactwem naftowym. Wnosi też istotne elementy do rozważań nad procesami migracyjnymi. Migranci nieraz odegrali rolę modernizacyjną – i to nie tylko w charakterze siły roboczej przy realizacji różnych projektów. Różne kraje wręcz organizowały imigrację w intencji zmodernizowania się. Warto jednak pamiętać, że rola migrantów mogła zależeć nie tylko od nich, ale też od otoczenia, w którym przychodziło im funkcjonować.

Z doświadczenia własnej refleksji nad migracjami wiem, że wrażenia migrantów o nowym kraju dużo mówią o tym przez nich opuszczonym. Ciekawe, że opisani przez Tygielskiego Włosi są zaskoczeni strukturą stanową, szlachecką dominacją, blokującą rozwój mieszczańskiej zamożności, rozdzielnością stanów szlacheckiego i mieszczańskiego („o stanie chłopskim nie wspominając”), także zamieszkiwaniem i trzymaniem się bogatszych raczej na wsi, dominacją peryferii nad centrum, małym znaczeniem stołeczności (s. 392–393). Takie wrażenia mówiły dużo o samych Włoszech. Pytanie, czy o innych krajach i kontynentach też.

Ciekawe są rozważania Tygielskiego nad wpływem migracji na poczucie tożsamości obu stron oraz, mówiąc współczesnym językiem, na ich identyfikację narodową. Przy lekturze odniosłem wrażenie, że nowożytni Włosi nie różnili się w tym względzie od mazowieckich chłopów jadących do Ameryki. W jednym i drugim wypadku znalezienie się w obcym środowisku umacniało poczucie własnej tożsamości. Jeżdżący szukali też swoich pobratymców i materialnych znaków obecności przedstawicieli własnej społeczności za granicą.

Ciekawe są rozważania Tygielskiego nad bilansem wpływu przybyszów z Włoch na rzeczywistość Rzeczypospolitej, rozumianym szerzej niż pozostawione dzieła sztuki. Czy ich obecność jako architektów, kupców, bankierów, poczmistrzów, doradców, sekretarzy... (s. 115) modernizowała Polskę – już mniejsza, czy zgodnie z wolą szlachty, czy bez niej? Czy może modernizowała, ale zmniejszała zapotrzebowanie na takich ludzi własnego chowu, co perspektywicznie mogło mieć swoje negatywne konsekwencje? To były czasy, gdy nad Wisłą jeszcze nie widziano zaistniałych załóżków zacofania. W ogóle na świecie jeszcze nie myślano w takich kategoriach. W późniejszych wiekach w różnych krajach nieraz chciano natomiast czy to wysyłać swoich, by daleko nauczyli się różnych rzeczy, czy sprowadzano ludzi w ramach programu modernizacyjnego. W jakimś momencie pojawiła się też obserwacja, że obcy, choć już nieraz jak najbardziej zasiedzieli i choćby przez to swoi, monopolizują pewne dziedziny życia, zwłaszcza nowoczesne. Z niektórych dziedzin życia obcy bądź uznawani za takich bywali szybciej usuwani niż z innych. W czasach badanych przez Tygielskiego Włosi wszędzie pracują jako dyplomaci. W świetle książki wygląda to na ich narodową specjalność. Można rozważyć, czy w czasach ukształtowanych państw narodowych powierzano funkcje dyplomatów obcym. Odnoszę wrażenie, że na ogół chciano, by byli własnymi poddanymi bądź obywatelami.

W swojej książce Tygielski cytuje Antoniego Mączaka: „W odniesieniu do przeszłości danego kraju, zwykle ojczystego – czy nim Polska, czy Ukraina, tak blisko ze sobą związane – zbyt często wychodzimy od opisu; nie tyle badamy postawiony temat, co określamy jego ramy: od–do w czasie i przestrzeni. Określenie owych ram bywa koniecznością przy doborze materiału źródłowego; wyznaczają to środki i czas do dyspozycji badacza. Nie wolno jednak z konieczności czynić zalecenia czy nakazu i rezygnować z szerszej refleksji” (s. 119). W recenzowanej książce autor idzie drogą wskazaną przez swego nauczyciela. Bardzo to popieram. Uzupełnię jednak przytoczoną wskazówkę hasłem: „Badacze migracji wszystkich epok, łączcie się!”.

Redakcja językowa: Beata Bińko